

W 2012 roku karnawał przydarzył się w stolicy nie późną zimą, a w czerwcu. Miasto na miesiąc wstrzymało oddech, wybałuszyło zdziwione oczy i czasem tylko z cicha pojękując, obserwowało, jak z trudem wypracowany porządek zostaje wyrócony na nice. Patrzyło oniemiałe, jak ulicami, przy akompaniamencie warkotu helikopterów, przetaczają się armie dziwnych obcych i dzikich swoich – radosne korowody ludzi z wymalowanymi tłustą farbą flagami zamiast twarzy i zdyscyplinowane oddziały bywalców siłowni, kryjących wściekle oblicza w kapturach, za bandanami i ciemnymi szklami okularów noszonych jeszcze długo po zmroku. Na jednym z głównych placów, pod gigantyczną plastikową piłką i огоłoconą z liści palmą, greccy żołnierze rodem spod Termopil spotykali się z Kaukazczykami w baranich papachach, a jowialni bawarscy piwosze w browarnych strojach i nastrojach pozdrawiali sewastopolskich *moriaków* w pasiastych koszulach. Bruki aspirującej do eurostandardów metropolii dźwięczały głucho pod kopytami obojętnych na świst rac policyjnych koni, a polski aż do bólu stadion otoczyły kordony niemieckich owczarków. Pomieszkujące w nadwiślańskich krzakach ptaki musiały się wynieść w inne okolice: skuszona przez producenta gazowanych napojów Warszawa wpadła w piłkoszał. Zapanowała euforia.

JUSTYNA CHMIELEWSKA

Warszawa eurotyczna

Jeśli karnawał polegać ma na zawieszeniu krępiących na co dzień norm i dopuszczeniu ekscesu, Euro 2012 było pięknym karnawalem i pierwszą od dawna okazją, by doświadczyć Warszawy jako przestrzeni ledwie kielznanego chaosu. Miasta – i tak zdezorganizowanego przez odkładane latami remonty głównych węzłów komunikacyjnych – musieliśmy się nauczyć na nowo. Przyszło nam pogodzić się z dziwnym *regnum* rodziny UEFA, która rozbiła swe obozy wokół dwóch symbolicznych punktów starej i nowej stolicy: monumentalnego w swej szarości Pałacu Kultury oraz pulsującego bielą i czerwienią stadionu, skutecznie



Aleje Jerozolimskie, czerwiec 2012.



dominującego panoramę prawego brzegu rzeki. Te przestrzenie, tymczasowo wyjęte spod normalnej miejskiej jurysdykcji, mieniące się fioletem bannerów organizatora i zielenią reklam producenta europiwa, zadedykowane zostały tym, na których spłynęła łaska wiary w futbolowe misteria. Nam – osieroconym rzeczom niewierzących – pozostało żmudne przedzieranie się przez wyrastające w najmniej spodziewanych miejscach zasieki, zyskaliśmy też jednak szczególny przywilej używania miasta niezgodnie z przeznaczeniem. Pędziliśmy więc na rowerach środkiem głównych, opustoszałych podczas meczów ulic, wolnym krokiem przemierzaliśmy puściuteńki most i przechadzaliśmy się po zwykle niedostępnych rondach, podglądając Warszawę z perspektyw tym bardziej ekscytujących, że zazwyczaj nieosiągalnych. Przyzwolenie na nadużycie miasta szybko stało się źródłem szczególnej radości, zdolnej rekompensować niewygody. Więcej: bywało źródłem odkryć.

Dziesiątki tysięcy zagranicznych kibiców witane były natomiast w stolicy entuzjastycznym hasłem „*Feel like at home*” i zdaje się, że (wyłączając może gości z Rosji, których obecność wzbudziła dość żywy sprzeciw naszych kiboli) wielu poczuło się w karnawałowej Warszawie swobodnie, dumnie nosząc swe kostiumy i maski i dołączając do ciągnących mostem Poniatowskiego korowodów. Tymczasem my, tubylcy, z trudem rozpoznawaliśmy miasto, szczególnie opakowane płach-

tami wielkoformatowych reklam (jak bardzo mylili się ci, którzy twierdzili, że gorzej już być nie może!). Ciężki to był czas dla estetów: Warszawa utonęła w kolorowej brei gadżetów, maskotek i znaków towarowych, zwielokrotnianych jeszcze przez refleksy odbite w szkłe z tysięcy rozbitych flaszek, w którym w meczowe dni brodziliśmy po kostki. (Mimo intensywnych zabiegów, zbieracze butelek i puszek – bodaj najwięksi cisi beneficjenci Euro – nie byli w stanie na tym polu dotrzymać tempa kibicom).

Gdziekolwiek tylko dawały się dostrzec znaki dyskretnego sprzeciwu. W trakcie każdego spośród rozgrywanych w Warszawie meczów kontestujący futbolcykliści z grupy „Olej Euro, chodź na rower” starali się odpedałować od stadionu najdalej, jak to tylko możliwe, uciec z miasta opętanego neurozą 2012. Pojawiające się tu i ówdzie polityczne wezwania „Chleba zamiast igrzysk!” szybko zniknęły w gąszczu reklamowych hasel, a subtelne – choć jakże spektakularne – gry z butą organizatorów turnieju zostały błyskawicznie ukrócone. Przez chwilę cieszyły jednak oczy ironistów: „Dumne miasto gospodarz Euro 2012” na dzień przed pierwszym meczem stało się miastem dumnym, a niewidzialna ręka zmieniła pełną wiary proklamację „*Creating history together*” w – równie zresztą trafne – stwierdzenie, że oto razem tworzymy historię.

Obietnica medialnej uwagi zwiabiła w okolice stadionu także innych niezadowolonych, raczej niezwiązanych



Wejście na Stadion Narodowy, czerwiec 2012.



Aleje Jerozolimskie, czerwiec 2012.

bezpośrednio z futbolem. Na kwadrans przed pierwszym gwizdkiem na placu Waszyngtona więcej było obrońców krzyża i katyńsko-smoleńskich oskarżycieli władców tego świata niż zbłąkanych fanów piłki nożnej, kobieta dumnie dierzżąca wizerunek Matki Bożej z Guadalupe pomstowała na szerzącą się w Europie aborcję, a reprezentanci Polonii z Toronto dawali upust swej niechęci wobec Józefa Stalina, sierpa i młota. Jak na medialny spektakl przystało, Euro 2012 przyciągało wszystkich marzących o choćby krótkotrwałej sławie – wśród oczekujących na mecz kibiców zdarzało się więc spotkać Chucka Norrisa obwieszonego polskimi flagami, a w obliczu bezradności policji, z trudem hamującej pochód rosyjskich i polskich miłośników piłki i rozróby, nad sytuacją starał się zapanować Superman we własnej warszawskiej osobie.

Karnawałowe zawieszenie porządku to ma do siebie, że jest tymczasowe. Strefa Kibica – chyba najboleśniej odczuwana wyrwa w miejskiej przestrzeni – zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, zwracając warszawiakom centrum stolicy; do obecności monstrualnego stadionu będziemy musieli przywyknąć. Tłumy kolorowych gości wróciły do domów, raczej kontente; można mieć nadzieję, że pierwsze tak masowe spotkanie z obyczajową i kulturową innością, rozegrane w dodatku na własnym boisku, zostawi w głowach ślad. Choć zdawało się, że świat stanął na głowie, a dobrze znany układ uległ poważnemu – fascynującemu skądinąd i odświeżającemu – zaburzeniu, po raz kolejny okazało się, że ostatecznie „Polacy, nic się nie stało”. Miasto, solidnie wstrząśnięte i przynajmniej nieco przewietrzone, wróciło do normy.

